

Przemysław Dakowicz: O tomie „Głosy” Jana Polkowskiego

Poezja ma się stać, według Jana Polkowskiego, swoistym medium dla tych, którym głos odebrano, których życie zakończyło się przed czasem, których — powiedzmy to, co oczywiste i dlatego tak trudne do zrozumienia — zamordowano z zimną krwią — pisze dr Przemysław Dakowicz w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Polkowski. Pamięć pokolenia.

[kartka pierwsza]

Dwudziestowieczna literatura polska pełna jest nienapisanych książek. Dwudziestowieczna literatura polska obfituje w niepiszących pisarzy. Władysław Sebyła odkłada skrzypce i bierze pióro w rękę; wtedy właśnie dosięga go kula enkawudzisty. Bruno Schulz chwieje się na nogach i czepiając się ściany, upuszcza manuskrypt Mesjasza; strużka krwi spływa mu z kącika ust; wszystko zre ogień. Andrzej Trzebiński chce mówić, ale usta wypełnia mu gips; pada na warszawski bruk, krew barwi papierowy wór, w który jest ubrany; żołnierze w hełmach z runicznym znakiem wrzucają zwłoki na plandekę, ciężarówka odjeżdża. Zenon Przesmycki, któremu pocisk zniszczył mieszkanie na Mazowieckiej, błąka się po ulicach powstańczej Warszawy; niewydane dzieła Norwida ulatują z jego głowy, słowa płyną sinym niebem, znikają wśród dymu i mgły. Wacław Bojarski umiera od postrzału; Mikołaj Kopernik tkwi na cokole, trzyma w rękach kulę ziemską, w którą wsiąkają ciała umarłych, niewymownych, tych, co zamilkli przed czasem: Baczyńskiego, Gajcego, Stroińskiego.

Ilu potencjalnych poetów, prozaików, diarystów było wśród rozstrzelanych, zamęczonych w obozach, skostniałych w śniegach Wschodu i Północy? Ilu wśród ofiar sowieckiego terroru w pierwszych latach powojennych? Żołnierze wyklęci, pisarze wyklęci, wyrzutki literatury, niechciane dzieci bibliotek. Ilu takich, którzy po pióro nie sięgnęli, bo nie pozwoliły im na to warunki życia, bo trzeba było utrzymać rodzinę, zadbać o przyszłość dzieci, jakoś urządzić się w niesprzyjającej pisaniu rzeczywistości? Ilu tych, którzy nie wydali z siebie głosu, bo nie chcieli brać udziału w zbiorowym kłamstwie, bo cenzor wykreślił im połowę tekstu, bo w ostatniej chwili wstrzymano przydział papieru na druk?

W dwudziestowiecznej literaturze polskiej zbyt wiele jest książek złych, kłamliwych, szkodliwych i głupich, książek, o których nawet myśl by nie powstała, gdyby nowego porządku dla tej części Europy nie przyniesiono na bagnetach brunatnych i czerwonych oprawców. Przykład pierwszy brzegu — Jerzy Andrzejewski, przed wojną dobrze zapowiadający się pisarz katolicki, po wojnie autor instruktażowego dzieła Partia i twórczość pisarza. Z rzeczonyj książki jeden fragment, który mógłby nigdy nie zaistnieć:

Partia dopomaga pisarzowi w tym dobrym słyszeniu samego siebie. Partia swoimi wskazaniem i swoją krytyką wyczula słuch artysty, jeśli ten oczywiście chce słyszeć i nie upiera się przy głuchocie. Również kolektyw pisarski, gdy dobrze działa, spełnia w tym zakresie dużą i twórczą rolę. Wreszcie i przed krytyką otwierają się w tej dziedzinie znaczne możliwości.

Lecz ani pomoc Partii, ani kolektywy pisarskie i krytyka nie uwalniają twórcy od obowiązku samodzielnej czujności wobec siebie samego. Nie czujności przez palce, przez zasłonę misternie utkaną z różnych przyzwyczajęń,

nawyków, upodobań i drobniutek jak jedwabne supełki zakłamań. Również nie czujności przez powiększające szkło, bowiem takie spojrzenie na siebie prowadzi zazwyczaj nie do usunięcia błędów, lecz do przyglądania się im z taką samą ciekawością, z jaką śledzi się przez mikroskop ruchy złośliwych wirusów. Nie o taką czujność chodzi. Ani o czujność niecierpliwą, żywiołową, miotającą się z wielkim hałasem, jak wygłodniały pies uwiązany na łańcuchu.

Chodzi o czujność rewolucyjną.

Tego rodzaju publikacje wciąż zalegają półki bibliotek, szczególnie tych małych, osiedlowych, rejonowych, którym brakuje dotacji na uzupełnienie księgozbioru. Niegdyś wydawane w wysokich nakładach — powieści partyjnych autorów, których nawet wtedy nikt (poza zobowiązanymi do tego recenzentami) nie czytał, wiersze chwalców „socjalistycznej ojczyzny”, skłamane autobiografie i wyszlifowane na błysk wspomnienia z „bohaterskich” czasów, hagiografie komunistycznych świętych niekłaniających się kulom. Wszystko to meblowało głowy naszych rodziców i dziadków, wmawiało w nich „lepsy”, „słuszniejszy”, „postępowy” model rzeczywistości, a przy tym zaciemniało, zagadywało prawdziwą historię, przykrywało ją kreacją, pracą wyobraźni, dążącej do stworzenia w dziele literackim idealnego świata komunistycznego, gdzie kaci i oprawcy są bojownikami o równość i sprawiedliwość, a ostatni żołnierze wolnej Polski bandytami, zdrajcami i skończonymi łajdakami.

Zatrzymajmy się jeszcze przy Andrzejewskim. Popiół i diament — powieść zła, również pod względem warsztatowym, przedstawiająca wykrzywiony obraz rzeczywistości powojennej, użyta przez komunistów jako jeden z wielu

elementów szerokiej ofensywy antyakowskiej, przez wiele lat była lekturą obowiązkową w liceach. Jeszcze po roku 1989 ustawodawca traktował ją jako wartą przeczytania i podsuwał młodzieży.

Wokół tego rodzaju dzieł rosły inne, służebne wobec nich, jak książeczka Jana Detko „Popiół i diament” Jerzego Andrzejewskiego, wydana w roku 1964 ramach „Biblioteki Analiz Literackich”, udatnie „prostująca” myślenie nauczycieli i uczniów, pomagająca ujrzeć problematykę powieści w ideologicznie „właściwym” świetle. Czytamy w niej m.in.:

Po wyzwoleniu rozszerzają się wpływy PPR. Natomiast obóz burżuazyjno-obszarniczy znajduje się w odwrocie. Rozmachowi programu PKWN, olbrzymiej, twórczej, pozytywnej pracy obozu demokratycznego potrafił on przeciwstawić jedynie bezpłodną negację i bandycki terror. Był to obóz bankrutów, który rozsadzały narastające wciąż sprzeczności wewnętrzne, a przede wszystkim potęgujące się stopniowo dążenie podstawowej masy członków organizacji podziemnych do wyjścia z konspiracji i włączenia się do odbudowy kraju.

Obóz reakcji jednoczyła nienawiść do władzy ludowej, do ugrupowań postępowych. Walcząc przeciwko nim już w okresie okupacji, reakcja kontynuuje swoją działalność także po wyzwoleniu wschodnich ziem polskich. Ani na chwilę nie rezygnuje ze zdobycia władzy. Sabotuje i bojkotuje zarządzenia władzy ludowej, stara się przeszkodzić stabilizacji i normalizacji życia politycznego i gospodarczego.

[...] Na wielu terenach nastąpiła koncentracja reakcyjnych oddziałów zbrojnych, mnożyły się zamachy na działaczy i aktywistów PPR, oficerów politycznych Wojska Polskiego i pracowników administracji państwowej. W miastach zaczęły działać organizacje terrorystyczne. [...]

Przypomnieliśmy tutaj nieco historii, gdyż utwór Andrzejewskiego tak mocno jest w niej osadzony, że bez tej konfrontacji nasza późniejsza analiza nie byłaby w pełni jasna.

„Przypomnieliśmy nieco historii”. Nie historii — raczej: komunistycznego preparatu, dziejów oglądanych z perspektywy kata. Właśnie w takim preparacie jest „mocno osadzony” utwór Andrzejewskiego, a także dziesiątki, setki, tysiące innych książek. Tomy te krzyczą, zostały stworzone tylko po to — by zagłuszyć milczenie rozlegające się między kartami książek nienapisanych, zatrzymanych na progu, pomiędzy ideą a realizacją, potencjalnością a niemożliwością, życiem a śmiercią ich (nie)autorów.

Wydawało nam się, że po roku 1989 nastąpi jakaś potężna, rewolucyjna zmiana w literaturze, że narodzą się dzieła mierzące się z czasem kłamstwa i podłości. Ale autorzy, którzy mogli je stworzyć, bo dysponowali świadomością i wiedzą, nie mieli sił. Znękani przez system (który właśnie po raz kolejny się przepoczwarzał, przybierając twarz liberalnej demokracji), utrudzeni własnym życiem, wychłostani milczeniem — ostatek sił próbowali dać świadectwo. Media tego nie zauważały, dziennikarze mieli na głowie sprawy ważniejsze — organizowano nowy wspaniały świat, zdobywano przyczółki, okopywano się na swoich pozycjach. Głosy z przeszłości, głosy domagających się prawdy i sprawiedliwości, odkreślono grubą kreską. Tylko w takiej rzeczywistości mógł przepaść niemal bez śladu

pisarz tej miary, co zmarły niedawno Janusz Krasieński. Młodszym wmawiano, że pora zająć się tym, co teraźniejsze i przyszłe, przeszłość pieczętując milczeniem, które jest jakoby istotnym warunkiem „narodowej jedności”, zgody „ponad podziałami”. Dlatego właśnie „pierwsze powieści gejowskie” i „pierwsze powieści dresiarские” nagłaśniano, nagradzano i sprzedawano tak ochoczo. One ułatwiały zapomnianie, każąc odbiorcom biec wciąż prędzej i prędzej w nowoczesność.

W dwudziestowiecznej historii Polski bardzo wiele jest zdarzeń, które usunięto ze zbiorowej pamięci, zanim na dobre w nią zapadły. Milczały gazety, milczało radio, milczała telewizja — znikaly dni, miesiące, lata, znikaly okrzyki i ciosy, znikaly twarze przesłuchiowanych i bitych. Z szarego tła, z szarej mgły wynurzała się twarz inna — ogolone gładko policzki, rozumne spojrzenie zza szkieł okularów, wyraz troski wyzierający z każdej zmarszczki, z każdego zakamarka tej niemal bezcielesnej konstrukcji. Jedynie wykrój ust, nawet nie wykrój: cień w kącikach, który pojawia się na mgnienie i zaraz potem znika. Jedynie ów cień wprowadzał dysonans. Usta mówiły: nie ma, nie ma, nie ma. Nie ma ciał, nie ma ofiar, nie ma problemu. Są drobne kłopoty, z którymi władza sobie radzi. Usta poruszały się (cień pojawiał się i znikał): nie ma potrzeby o tym rozprawiać, milczenie jest złotem, kochajmy się. Po roku 1989 usta nie przestawały mówić, stały się nawet bardziej wymowne, przybyło ich, z każdej strony dochodził dźwięk ich zamykania i otwierania. Zachęcały do wytrwałego marszu naprzód, ku świetlanym celom, niekiedy — coraz rzadziej — biadały nad błędami i wypaczeniami minionego okresu.

Literatura polska przyjęła systemową i polityczną zmianę z ulgą. O wyczerpywaniu się, wygasaniu modelu kultury mającego swój początek w poezji romantycznych wieszczów pisała na początku ostatniej dekady minionego wieku Maria Janion. Zjawisko to określiła badaczka jako

„zmierzch paradygmatu”. Ów „jednolity styl kultury” o charakterze symboliczno-romantycznym obowiązywał, zdaniem Janion, przez niemal dwa stulecia — od rozbiorów do stanu wojennego i lat, które bezpośrednio po nim nastąpiły. W wieku dwudziestym kulminował trzykrotnie: w okresie obu wojen światowych oraz w czasie zrywu solidarnościowego na początku lat osiemdziesiątych. Autorka Odnawiania znaczeń stwierdzała:

Jesteśmy świadkami okrutnego paradoksu: osiągnięta niepodległość, do której zdobycia wszechwładny romantyzm przyczynił się w sposób zauważalny, niweczy teraz podstawę jego oddziaływania. Kształtuje się w kulturze sytuacja odmienna od tej, która panowała w dwudziestoleciu międzywojennym, chociaż wielu wyobraża sobie prosty powrót do idei, zachowań i postaw sprzed ponad półwiecza. Odmienność zaś położenia polega przede wszystkim na fakcie nieznanego dotychczasowym dziejom rozwoju kultury masowej oraz jej technicznych środków przekazu.

Wraz z przemianami ustrojowymi, gospodarczymi i politycznymi, które mają uczynić z Polski „normalny” kraj demokracji i wolnego rynku, osobliwa monolityczność stylu romantyczno-symbolicznego musiała się zachwiać. Ideały romantyczne straciły, chociażby powierzchowną i sprowadzającą się do frazesów, ale jednak siłę perswazyjną. Nastąpił w ogóle proces dezutopizacji społeczeństwa, nastąpiła era trzeźwości i deziluzji, chociaż powszechnie dostrzega się pragnienie podtrzymywania dawnej bezpiecznej egalitarystycznej jedności. Jednak już „wielość” zaczęła się kłócić z „jednolitością”, „konkurencja” i „zdrowy egoizm” z „solidarnością”, a „interes” (ekonomiczny przede wszystkim) z wartością (duchową głównie). Jednolita kultura, która pełniła dotychczas przede wszystkim funkcje kompensacyjne i terapeutyczne, nie może – dokładnie tak samo jak dotąd — funkcjonować w społeczeństwie, które ma stać się demokratyczne, to znaczy zróżnicowane i zdecentralizowane, objawiające rozmaite potrzeby, również

kulturalne. Bezkrytyczne „zakochanie we własnej piękności”, wpojone nam przez romantyków i Sienkiewicza, bezlitośnie schlastane przez Gombrowicza, tak skutecznie ratujące nas w permanentnych stanach słabości, klęski i upadku, nie ma już szans dłuższego przetrwania, mimo że nadal jesteśmy słabi. Ale słabi w inny sposób.

Przekonanie o ostatecznym wyeksploatowaniu paradygmatu romantycznego okazało się przedwczesne. Pozostaje oczywiście pytanie, czy to, co rodzi się w polskiej kulturze po 10 kwietnia 2010, to jedynie proste powtórzenie dziewiętnastowiecznego wzorca, mechaniczne odwzorowanie, nawrót do „matecznika”, w którym możemy odzyskać fundamentalne poczucie bezpieczeństwa i sensowności dziejów, czy też jakaś dotychczas nieprzeznaczona, ponadprogramowa ścieżka recepcyjna, na której romantyzm uzyska nowy wymiar, odpowiadający cywilizacji pierwszej połowy XXI stulecia.

Koncepcja Marii Janion z początku lat dziewięćdziesiątych oparta została na przekonaniu, że ostatecznie zakończyła się pewna faza w historii Polski, etap wytrwałej walki o zachowanie bytu narodowego, tzn. ocalenia pojmowanej linearnie świadomości zbiorowej, w granicach której to, co minione, stanowi żywotny, aktualny i funkcjonalny składnik terażniejszości. W myśl tej koncepcji „paradygmat romantyzmu i historii” miał zostać zastąpiony „paradygmatem romantyzmu i egzystencji”, tzn. do lamusa drogocennych pamiątek narodowych powinien być odłożony romantyzm insurekcyjny i mesjanistyczny, a w miejsce monolitycznej zbiorowości winny wejść świadome siebie jednostki, zdolne kształtować oblicze nowoczesnego kraju, z powodzeniem odnajdującego się we wspólnym, zbudowanym na wartościach liberalnych „europejskim domu”.

Podstawowy błąd logiczny w rozumowaniu autorki Płaczu generała polegał, jak sądzę, na rzutowaniu myślenia postulatycznego na refleksję historycznoliteracką, przy niemal całkowitym ignorowaniu uwarunkowań geopolitycznych, od dwóch stuleci wpływających na kształt polskiej kultury. Inna rzecz, że w latach dziewięćdziesiątych XX wieku i w pierwszej dekadzie wieku XXI można było sądzić, że sytuacja międzynarodowa uległa definitywnemu przekształceniu, a co za tym idzie — romantyczne wzorce postrzegania jednostki i zbiorowości przez pryzmat wielkich procesów historycznych nareszcie przestały mieć zastosowanie. W ciągu dwóch dekad po Magdalence i Okrągłym Stole odsłonił się jednak ogromny obszar zaniechań, przemilczeń, problemów nierozwiązanych. Brakowi dekomunizacji i lustracji w przestrzeni publicznej odpowiadały brak zainteresowania dla przeszłości i bezrefleksyjna pogoń za nowością w kulturze.

W literaturze perspektywa indywidualistyczna wyraźnie zdominowała perspektywę zbiorową. Nieliczne były głosy tych, którzy upominali się o dziejową prawdę, podejmowali próbę rozliczenia epoki PRL. Poezja milczała i w swojej masie milczy do dziś (nie zmieniają ogólnej tendencji ważne tomy Wencla i Misiewicza). Tym większą uwagę poświęcić trzeba każdej wybitnej książce poetyckiej mierzącej się z nieopowiedzianą historią sowieckiego i komunistycznego terroru w Polsce.

W ostatnich miesiącach pojawiła się taka wyjątkowa książka. Przeszła niemal bez echa.

Myślę o Głosach Jana Polkowskiego.

[kartka druga]

Wiesław Kasprzycki. W grudniu 1970 szesnastolatek, uczeń szkoły zawodowej przy stoczni gdyńskiej. W „Czarny Czwartek” przyjechał w okolice przystanku SKM Gdynia Stocznia, następnie znalazł się pod budynkiem Prezydium Miejskiej Rady Narodowej. Ponieważ zgubił klucze do mieszkania, postanowił dostać się do szpitala, gdzie pracowała jego matka. W drodze został zatrzymany przez milicjantów. Pobito go i nieprzytomnego przeniesiono do siedziby Prezydium. Tam był wielokrotnie kopany, okładany pałkami, ogolono mu głowę. Mirosław Piepka i Michał Pruski (z ich książki czerpię powyższe informacje) tak streszczają relację Kasprzyckiego:

— Dopadli nas z myśliwskimi nożami i zaczęli ciąć włosy. Miałem krótkie, strasznie bolało, bo ze skórą wrywali.

Zomowcy przynieśli drewniany fotel. Co jakiś czas wybierali któregoś z siedzących, przekładali przez fotel i bili pałkami. Nowi mundurowi co parę chwil wpadali do sali. Piana na ustach, dzikie oczy. Bicie pałkami na oślep. Katowani próbowali cofać się pod ścianę.

— Pękała skóra...

Zaczęli wzywać na przesłuchanie, na pierwsze piętro, do gabinetu przewodniczącego MRN. W gabinecie stało biurko i stół prezydialny. Pod ścianą czterech zomowców, za biurkiem jeden. Obok piętrzył się stos dokumentów.

— Nazwisko.

— Kasprzycki.

Milicjant znalazł legitymację szkolną, policzył litery w imieniu i nazwisku. Zapisał w kółku. Wyszło 17.

— No to wskakuj na stół.

Kasprzycki odruchowo zerwał się z krzesła. Tylko na to czekali. Rozciągniętego na stole trzymało dwóch, dwaj bili pałkami. Tyle uderzeń, ile liter w imieniu i nazwisku.

Znaleźli zdjęcie dziewczyny Kasprzyckiego [...]. Policzyli litery w imieniu. Następne ciosy pałkami. Wyrывая się, spadł ze stołu, więc skopali go na podłodze. No i lata w dacie urodzenia. Znów bicie.

— Potem mnie wyprowadzili. Schodziłem z półpiętra, kiedy ten, co liczył litery, znowu mnie zawołał. Poszedłem schodami do góry. On stał na krawędzi schodów. Dłoń w czarnej rękawiczce, w dłoni duża mosiężna tuleja.

Po silnym ciosie w twarz Kasprzycki stoczył się po schodach na parter. Wypluł strugę krwi. Nie mógł się podnieść. Trzymając pod ręce, zawlekli go do sali kolegium, tam... znowu piekło. Kilkudziesięciu zatrzymanym zomowcy kazali rozebrać się do naga i złożyć ubrania w kostkę. Nowe ekipy

mundurowych wpadały do sali co kilka minut. Bito pałkami, pięściami. Nie można było wyjść do toalety, więc zakrwawieni ludzie załatwiali swoje potrzeby na podłogę. Z krwi, ekskrementów i obciętych włosów utworzyła się gęsta maź. W zapierającym oddechu smrodzie, brodząc w nieczystościach, zomowcy masakrowali stłoczonych ludzi. Nad stołem przydzielonym wisiał wycięty ze styropianu biały orzeł. Kasprzycki zapamiętał, że na godło bryzgały fekalia. Czuł jedynie zwierzęcy strach, dopiero po latach dostrzegł w tym jakąś ponurą symbolikę.[2][5]

Nie był to koniec pastwienia się nad zatrzymanym nastolatkiem. Bito go w pięty, puszczano na „ścieżkę zdrowia”. Ponownie stracił przytomność. Pamięta kolejne wizyty na piętrze — okładanie pałkami i polewanie wodą.

Z rąk oprawców w polskich mundurach wyrwał Wiesława Kasprzyckiego znajomy jego matki, lekarz ze szpitala miejskiego. Chłopiec był w stanie agonalnym, krwawił z cewki moczowej, nie dało się u niego wyczuć tętna i pulsu, jego ciało było spuchnięte i sine.

Przeżył cudem. Do dziś nie może mówić o grudniowej masakrze. Jedyne raz, w czasie tzw. karnawału Solidarności, zdołał przełamać psychiczną i emocjonalną blokadę — wtedy zapisano jego wspomnienia.

Przywołuję tę relację, by tym mocniej uświadomić sobie i czytelnikom, że dwudziestowieczna historia Polski — przede wszystkim w jej wymiarze jednostkowym, egzystencjalnym — pozostaje historią nie w pełni wypowiedzianą. Tym, którzy uszli z życiem, głos więźnie w gardle. Trauma była tak ogromna, że część z nich do dziś się z niej nie wyzwoliła.

Czy poeta powinien mówić za nich? Jak ma pisać, by nie zniekształcić prawdy? Czy literatura nie musi skapitulować wobec doświadczeń tego rodzaju? Głosy Polkowskiego przekonują, że na początku dwudziestego pierwszego wieku, po postmodernizmie i dekonstrukcjonizmie, poezja wciąż może i powinna być antidotum na dziejowe kłamstwa i przemilczenia, że zdolna jest odsłaniać manipulacje motywowane interesem politycznym, oddzielać jasność od ciemności, cierpienie od zbrodni, szlachetność od podłości, a także: wyrażać indywidualne losy tak, by stawały się one znakami praw wyższych, ukazywały swoje antecedencje i ciągi dalsze, stanowiły przestrożę i napomnienie dla nas, którzy przez dwadzieścia lat tak głośno fetowanej wolności zbyt łatwo przyzwyczajaliśmy się do myśli, że w naszej części Europy historia skończyła się raz na zawsze.

[kartka trzecia]

Głosy to tom szczupły. Składa się nań jedynie osiemnaście wierszy i dwuakapitowa wypowiedź prozą, stanowiąca rodzaj objaśnienia? przesłania? programu? Myślę, że lekturę całości warto zacząć od tekstu zamykającego książkę:

Czy poezja nie powinna być szczególnie wyczulona na anonimowe, niewysłowione przesłanie, strawione przez zgiełk śmierci i chaos kłamstwa? Czy nie powinna używać swojego głosu a umniejszać swoje pragnienia? Zapominać o sobie choćby na mgnienie? Przenikać los ludzi wyblakłych, których życie uwięzło w niejasnej frazie znikającego cienia? Czy my nieustannie zapominani jesteśmy rozpoznawani przez innych zapomnianych? Co mówią o nas umarli? Czy nas zapamiętali? Czy my wsłuchujemy się w tych, których nie pamiętamy?

Zamordowani na Wybrzeżu w 1970 roku mają swoje imiona i pomniki (choć nie jesteśmy pewni czy wiemy o nich wszystkich). Istnieją w pamięci przekazywanej w rodzinnym kręgu. Żyją także jako zbiorowy symbol oporu przeciwko nieludzkiej władzy w drugiej połowie XX wieku lub jeden ze śladów jej zbrodniczej działalności. Ostatnio niektórzy z nich ożyli w filmie Czarna czwartek. Zastanawiam się czy nie moglibyśmy podejść bliżej do nich i do tych, których kochali? Tak blisko jak to jest możliwe. I wcielić się na wieczny moment w ich trwające i podróżujące i zmartwychwstałe i zatarte i nierozpoznane i rozsypane i nienarodzone życie?

Poezja ma się stać, według Jana Polkowskiego, swoistym medium dla tych, którym głos odebrano, których życie zakończyło się przed czasem, których — powiedzmy to, co oczywiste i dlatego tak trudne do zrozumienia — zamordowano z zimną krwią.

Od tragicznych „wydarzeń” na Wybrzeżu minęło przeszło czterdzieści lat. Winni tej zbrodni nie zostali ukarani. I nie zostaną. Nie po to w szczelnie zamkniętych gabinetach, a potem przy Stole Zgody, projektowali i współtworzyli nową rzeczywistość polityczną i społeczną. Pozostaną nieosądzeni, dożyją swoich dni we względnym spokoju, od czasu do czasu zapraszani przez swoich następców do jakiegoś ekskluzywnego grona (zwanego, dla propagandowego efektu, Radą Jedności Narodowej czy Zgromadzeniem Mędrców Ojczystych), odwiedzani w szpitalu przez wyperfumowanych i uśmiechniętych polityków z kopytkiem zamiast stopy. Sprawiedliwość — symboliczną — wymierzyć im może jedynie kultura. Właśnie w tym sensie są Głosy Polkowskiego książką służebną, tomem od dawna potrzebnym, ba — koniecznym, bo przywracającym wiarę w literaturę, która zdolna jest angażować się w spór o kształt zbiorowej pamięci. „Nie zapomnijmy!” — nawołuje krakowski poeta, nawołuje wierszami ściszonymi,

dyskretnie odkrywającymi pokłady przemilczanego cierpienia, tłumaczącymi na słowa niemy szloch, skargę, która uwięzła w gardle, zatrzymana przed granicą wypowiedzenia.

Wizja poezji, która „użycza swojego głosu, a umniejsza swoje pragnienia”, jest mi niezwykle bliska. Oto wiersz przestaje być emanacją ego poety, stając się właśnie głosem w nieprzerwanej rozmowie pokoleń, gdzie żywi mówią do umarłych, umarli do żywych. Ów gest wycofania, zatarcia autorskiej sygnatury, widoczny jest już na okładce tomu Polkowskiego. Głosy otwierają się na niewysłowione, mówią językami, obcymi językami tych, którym odebrano zdolność wysłowienia, których usta pozostały zamknięte. „Wysłuchać się”, „podejść bliżej”, „wcielić się na wieczny moment” — określenia te wyznaczają rytm nowych wierszy autora Oddychajgłęboko, pozwalają zrozumieć istotę jego niecodziennego artystycznego zamierzenia.

[kartka czwarta]

Nie sposób uniknąć zestawienia Głosów Polkowskiego ze Spoon River Antology. Słynny tom Edgara Lee Mastersa otwiera wiersz Wzgórze, którego pierwsze wersy w następujący sposób przełożył Michał Sprusiński:

Gdzie są Elmer, Herman, Bert, Tom i Charley,
Słabeusz, mocarz, błazen, pijak, żołnierz?
Wszyscy, wszyscy śpią na wzgórzu.

Ten umarł w gorączce,
ten spłonął w kopalni,
tego zabito w bójce,

ten umarł w więzieniu,
ten spadł z mostu, harując na żonę i dzieci —
wszyscy, wszyscy śpią, śpią, śpią na wzgórzu.

Polkowski zamyka cykl Głosy bodaj najpiękniejszym z nowych liryków —
monologiem zastrzelonego dwudziestolatka. Podaję tu dwie początkowe
strofoidy:

Senność, senność, senność, fale kroków gasnące.
Anioły idą nago w śnieżnych hełmach ku czołgom.
Cóż, wielu pragnie zobaczyć śmierć i szczęśliwie powrócić.
Żyć i wiedzieć. Zrozumieć co można z umierania.
Wiedzieć, być nieśmiertelnym w ciele wietrznego czasu.

Senność, senność, senność i nuta pustej sieci
bez ryb i obietnic szczęścia.
Z chybocącego wagonu ktoś woła mnie po imieniu.
Chcę wstać, odpowiedzieć. Chcę pobiec
ciepłymi rękami otoczyć skrzydlaty kształt

boskiej ziemi.

(Głosy, s. 27)

Oczywiście, posłużenie się przez obu twórców konstrukcjami triadycznymi
(„śpią, śpią, śpią” — „senność, senność, senność”) oraz obecność w każdym z
cytowanych wierszy motywu śmierci-snu nie przesądza jeszcze o źródle

inspiracji. Tropów mastersowskich jest jednak w książce Polkowskiego znacznie więcej. Przede wszystkim: 1. forma wypowiedzi — monologi postaci, żyjących w ściśle określonych realiach, sumujących indywidualne doświadczenie życiowe; 2. refleksyjność; 3. elegijność; 4. skrótowość, sentencjonalność, gnomiczność; 4. zestawianie perspektyw mikro i makro. Nie znaczy to jednak, by Głosy były cyklem wtórnym, by można je było uznać za proste przeszczepienie na rodzimy grunt amerykańskiego wzorca sprzed niemal stu lat. Mamy tu raczej do czynienia z wielokierunkowo motywowaną zbieżnością — wybór sposobu artykułowania to konsekwencja wcześniej podjętych decyzji: 1. udzielenia głosu jednostce wyrażającej własną prawdę egzystencjalną; 2. zmierzenia się z tematem śmierci nagłej, dokonującej się zarazem w wymiarze jednostkowym, jak i ponadjednostkowym/zbiorowym; 3. postawienia zasadniczych pytań o charakterze eschatologicznym i etycznym. Słowem, pisząc o masakrze gdyńskiej (czy też szerzej: o krwawych wydarzeniach roku 1970 na Wybrzeżu), nie mógł poeta posłużyć się formą bardziej adekwatną i artystycznie pojemną niż ta, którą wybrał.

Zresztą, różnica między zamysłami Mastersa i Polkowskiego jest bardziej zasadnicza, niż mogłoby się wydawać. W pewnym sensie znosi ona problem zamierzonego lub niezamierzonego pokrewieństwa formalnego. Michał Sprusiński nazywa Spoon River Antologią Komedią Ludzką „zamkniętą w wierszu otwartym na los człowieka poszukującego swej tożsamości na ulicach i cmentarzach cywilizacji”[2]. Do cyklu poetyckiego polskiego autora znacznie lepiej pasowałoby określenie Tragedia Historii, jego bohaterowie nie są bowiem, jak postaci ze Spoon River, ofiarami własnych słabości, męczennikami ironicznej codzienności, mieszkańcami nudnej prowincji i niewolnikami małomiasteczkowych obyczajów — ich własne misterium mortis rozgrywa się w przestrzeni państwa totalitarnego, zbrodnia, która się na nich dokonuje, jest zbrodnią nieludzkiego systemu, który za nic ma ból i cierpienie jednostki.

[kartka piąta]

Postaci mówiące w utworach Polkowskiego nie zostały wyposażone, jak u Edgara Lee Mastersa, w konkretne imiona i nazwiska. Wszystko, co o nich wiemy, zawarto w krótkich notkach pod kolejnymi wierszami. Jest to wiedza szczątkowa, sugestia dotycząca, po pierwsze — bezpośredniego lub pośredniego uczestnictwa w tragedii, którą władze komunistyczne opatrzyły eufemistycznym mianem „wydarzeń grudniowych” (odczytujemy więc: „zastrzelony”, „ranny”, „matka”, „ojciec”, „narieczona”, „żona”, „syn”, „brat”), po drugie — przypuszczalnych rocznych dat narodzin (ew. śmierci). Napisałem „sugestia” i „przypuszczalnych”, gdyż każda z informacji opatrzona została znakiem zapytania, jakby chciano nam uświadomić, że nawet najbardziej uważne „wysłuchiwanie się” w głosy przeszłości nie daje pewności ich prawidłowego odczytania. Bierzemy udział — zdaje się przekonywać Polkowski — jedynie w próbie przeniknięcia i zrozumienia „losu ludzi wyblakłych, których życie uwięzło w niejasnej frazie znikającego cienia”.

Co oznaczają słowa: „przenikać los”? Sądzę, że przede wszystkim: interpretować ukryte znaki, zapisane w pozornie bezładnym życiorysie — przerwanym, zmiażdżonym, złamanym w chwili, która jawi się jako przypadkowa, wybrana na chybił-trafił; odnajdywać porządek i wyższy sens w tym, co na pierwszy rzut oka stanowi domenę chaosu, ostatecznego pomieszania porządków.

Pierwszy z głosów (myślę, że słowo to lepiej oddaje intencje autorskie niż terminy „podmiot” czy „bohater”), należący do szesnastolatka trafionego zbłąkanym pociskiem, mówi:

W tym dniu moje życie trwało tylko godzinę.
O czwartej trzydzieści obudziłem się w bloku.
A do piątej czterdzieści otwierał się los.

(Głosy, s. 5)

Inny zwraca się do zamordowanego dziecka:

[...] Widzę już tylko ciebie
i bezmiar szepczącej wody. Co miałbym widzieć? Ty jesteś
moim synem, ja całe życie bełtałem los na pokładach statków.

(Głosy, s. 11)

Jeszcze inny, należący do zastrzelonego osiemnastolatka, zadaje pytania, które
muszą pozostać bez odpowiedzi:

Kim miałem zostać? Nikim. Bo czy miałem przeżyć?
Niewydolność trawienia i nazbyt płytki oddech.
Byłem wcześniakiem w dodatku poród był ciężki okrutnie.
Byłem więc oczkiem w głowie mojej i Boskiej Matki.
Przeżyłem i słabość zmieniła się w pragnienie
buntu przeciwko tępym uderzeniom losu.

(Głosy, s. 23)

Los, przeznaczenie, nieodwracalność wydarzeń. W nowych wierszach autora Cienia nie ma ucieczki od tego, co sążone człowiekowi. Zresztą, czy dałoby się pisać o minionych wydarzeniach w kategoriach potencjalności? Wszystko domknęło się w ciągu kilku dni, godzin lub minut — życie zamordowanych zakończyło się, wypełniło, zyskało swój ostateczny kształt; trwanie tych, których osierocili, zostało na zawsze naznaczone tragedią, będzie odtąd upływać w cieniu tamtego grudnia, niejako zatrzymane w biegu, zredukowane, kalekie.

W dwudziestej pieśni Dantejskiego Piekła znajduje się opis kary, jakiej poddani zostali magowie i wróżbici, trudniący się przepowiadaniem przyszłości, przekraczający przyrodzone granice ludzkiego poznania:

W okólnym rowie ujrzałem ich. Niemi
Szli i płaczący, podobnymi chody,
Jak tam procesje na powierzchni ziemi.

A gdy tak śledzę cieniów korowody,
Widzę u wszystkich szyje przekręcone
W miejscu, gdzie kadłub odbiega od brody.

Twarz odwróciły od piersi i w stronę
Oczom przeciwną szły pomimo chęci,
Mając z oczyma stopy powaśnione.

Krewni ofiar komunistycznego terroru — nie tylko tych zastrzelonych w „Czarny Czwartek” — zostali przemocą wrzuceni w piekło historii i skazani na cierpienie podobne do potępieńczych mąk przedstawionych na kartach Boskiej Komедii. Ich spojrzenie stale skierowane jest w stronę tego, co minione.

Piepka i Pruski opisują spotkanie z matką Janusza Żebrowskiego, siedemnastolatka zamordowanego w Gdyni w grudniu 1970 roku:

Siadamy. Długo milczymy, nie wiedząc na dobrą sprawę, jak rozpocząć rozmowę. W końcu z naszych ust pada jakaś kwestia. Staruszka stara się coś powiedzieć, ale jest coraz bardziej rozdygotana. Trzęsą się jej ręce, później cała zaczyna drżeć. Siada na wersalce, wstaje, dygoce, znowu siada. Zakrywa twarz dłońmi. Wydobywa z siebie jakieś niezrozumiałe słowa. Płacze, coraz głośniej. Zaczyna ciężko oddychać. Łkając, ni to mówi, ni to krzyczy:

— Nie, nie. Nie mogę do tego wracać. Panowie, dajcie mi spokój!

Patrzy na nas najpierw przerażonym, a później błagalnym wręcz wzrokiem.

Znowu szlocha.

Bohaterowie książki Polkowskiego podobnie reagują na traumę — chcieliby się z niej wyzwolić, otrząsnąć, ale nie mają na to dość sił, wciąż więc odnoszą wszystko do tamtego czasu. Ich życie terażniejsze przedstawia się jako przestrzeń szara, pusta, pogrążona w ciszy. To, co istotne, godne przechowania

i zapamiętania, wymknęło się im z rąk, na zawsze zostało uwięzione w czasie mitycznym, in illo tempore. Żywi przypominają martwych bardziej niż ci, co zginęli. To ludzie wydrażeni, nieustannie spoglądający wstecz, nawet jeśli z uporem twierdzą coś zupełnie przeciwnego — jak osiemdziesięcioletnia matka jednego z zabitych:

Składam się z niepamięci od paznokci po nerki
od wątroby po włosy nie pamiętam kim jestem.
Mój sen nie wie kim byłam, mój strach nie wie, że będę.
Jak się mówi przebaczam nie wiem bardziej niż kat
Jestem sową i wężem choć bardziej nie jestem
niż jestem. Oddycham tylko przyszłością.
Czekam aż fala uderzy, przemyje wędrowny piasek
dobro, zło i płomyki schylonych za domem trzcin.
Aż spadnie ciężki wiatr. Na skwir sosen
mech zmierzchu.

(Głosy, s. 19)

Monolog ten wypowiedany jest obliczu ostateczności, w przestrzeni, którą najchętniej określiłbym jako eschatologiczną, a nawet apokaliptyczną. Czas stanął w miejscu, nie tylko stanął — po prostu: skończył się. Ktoś, kto ma tego świadomość, czeka na jakąś finalną, zmiatającą wszystko katastrofę („fala uderzy”, „spadnie ciężki wiatr”), która oznaczać będzie także powrót do początku, restytucję przedustawnego porządku świata, oczyszczenie i zadośćuczynienie („fala [...] przemyje wędrowny piasek / dobro, zło i płomyki schylonych za oknem trzcin”). Ale pragnienie końca, domknięcia nie ma mocy wpływania na rzeczywistość; utrwała jedynie gest niezgody i sprzeciwu, więząc człowieka w ciasnym kręgu wciąż ponawianych rytualnych gestów:

Zawieźli mnie na cmentarz, chcieli zakopać ciało.
Odtąd każdej nocy trwa ten sam obrządek. Wyglądał
jakby zszyli go jakichś obcych kawałków. Szybko
zamknęli wieko. Wiatr przywłókł znad morza

deszcz i uwiązł w sieci pociemniałych jesionów.
Słysząc było jak krople uderzają w sztychówki
i sztychówki jak tłuką ze zgrzytem w kamienie.
Ktoś inny odszedł od studni w ciele Samarytanki.
Ja zostałam. Jak woda. Niema jak pusty
dzban.

(*Głosy*, s. 21)

Żywi z Głosów Polkowskiego przypominają owady zamknięte w bursztynie — zatrzymani w połowie gestu, krzyku, frazy. Mówiąc milczą, a mówią milcząc. Jeśli nikt nie podejmie ich krzyku, nie zada sobie trudu zrozumienia i przeniesienia w przyszłość ich cierpienia, pozostaną tam na zawsze — w „śmiesznych” pozach, z „groteskowo” wykrzywionymi twarzami, obcy i niepojęci.

dr Przemysław Dakowicz

Tekst opublikowany dzięki uprzejmości Autora.